

SAMOTNIA.

(Z HEYSEGO).

Burze gwałtowne, ciągnące od południa wstrząsały morzem przez kilka dni. Na urwistych wybrzeżach Sorrentu poruszyły one soki żywotne w rozłożystych figach, technęły w nieistnie wiosenną siłę i grunt zwilżyły obfitą ulewą. Wezuwiusz, według spostrzeżeń niektórych mieszkańców, wrzał i głucho wewnętrzne jego szemrania blizki zapowiadały wybuch; to też sąsiednie domy zdawały chwiać się w podstawach, a nocą słyszano brzęk narzędzi metalowych ułożonych w szafach.

Ale kiedy w ostatnim dniu kwietnia słońce zapanowało nareszcie nad tém wzburzeniem, miasteczka w dolinie Sorrentu stały nieruchome i nietknięte pośród winnic i sadów pomarańczowych; nie rozwarły się opoki dla pochłonięcia ich, szalone morze nie zdołało czarnemi falami przerzucić się za brzegi, by ściągnąć do swych przepaści to, co ludzie szczerzyli tam od wieków.

Tego dnia po południu, młody poeta, mniejsza o jego imię i narodowość, wychodził z domu, w którym pomimo woli, niby w więzieniu zamknęła go burza. Całemi dniami spoglądał on z okna w pieniające się morze, nogi okrywwszy płaszczem, bo ściany jego komnaty zionęły przenikliwym chłodem; czapkę nasunął na głowę, kielich po kielichu popijał wino, daremnie usiłując obudzić w ciele najmniejsze uczucie ciepła. Szczupły zapas książek, jaki mu towarzyszył w podróży, pozostał w Neapolu, a w domu oberżysty.

gdzie obecnie przebywał, niepodobieństwem było odkryć najmniejszy drukowany świstek, prócz kalendarza i książki modlitewnej. Ileżto razy chęłpił się on, że nigdy w samotności nie zdejmie go nuda. Jego częste a strzeliste wezwania do muzy, którą błagał o towarzystwo, nikły w szumie nawałnicy: aż wreszcie zimno wytepiło wszystkie w jego sercu myśli, nie zostawiając nic, prócz gorących życzeń ujżenia czémprędzej słońca.

I ukazało się słońce, i poeta nasz połowę tego błogosławionego dnia przebył uroczyście na ganku, kąpiąc się w jego promieniach; a kiedy nareszcie po obiedzie udał się ścieszką pod górę, wszystkie zastygłe w nim uczucia ocknęły się z nową energią. Nigdy jeszcze wiosenne słońce nie wydało mu się tak wielkiem, złocistém, potężném; nigdy tchnienie morskie nie przenikało mu tak świeżo do szpiku kości. Liście na drzewach figowych przez jedną noc podrosły na długość palca. Połowa słonecznego dnia wystarczyła krzewom na pokrycie się śnieżystą szatą kwiecicia. I gdziekolwiek spojrzy podróżny, znęcony wonią, wszędzie na łąkach spostrzega garście fijołków ciągnące się w nieskończoność. W powietrzu migają tłumy motyli zrodzonych nadedniem; po wszystkich drogach uwijają się ludzie, to pieszo, to w grzmiących kolaskach. To znowu rozlegają się dzwony kościołów i kaplic na milę wokoło, to wesołe okrzyki chłopców którzy pną się ku *Sant'Anna*, wiosce osiadłej na pochyłości góry, dla przyjęcia udziału w nabożeństwie; to znowu piosneczki niewiast które albo ręką w rękę śpieszą na nieszpór, albo z wysokości dachów błędzą oczyma po falach morza.

W miarę jak nasz poeta, idąc po lekkiój pochyłości, oddalał się od tych radosnych gwarów świątecznego dnia, ścisnęło mu się serce na myśl, że nie może dać ujścia uczuciu wdzięczności jakie ogarnęło go na widok cudów tyłu. Jakżeby on chętnie z wysokości skały zawiódł pieśń uroczystą ponad tym krajobrazem, pieśń bez słów, proste echo wszystkich głosów wiosennych, które brzmiały około niego; ale miał powód powątpiewać, iżby głos jego był godnym tłumaczem tego co doznawało serce. Z jakimże uczuciem zazdrości przypominał sobie tenora, przy którym tyle rozkosznych wieczorów przepędził w Rzymie. Co! maż on pro-

bować, czy nie zapełni tu przestrzeni swoim suchym głosem? Jakżeż on nędzny własnym wydawał się oczom, niemy jak ryba, cichy jak kij który trzymał w ręku, pośród tego śpiewającego i harmonijnego uszczęśliwienia natury!

„Jakięto prawem uznają poezję za najwyższą ze sztuk pięknych? zawołał z gniewem. Czyż poezya zdolną jest ulżyć pierśiom rozpychanym podobnemi jak tu wrażeniami? Niech tu przyjdą najwięksi z tych, którzy kiedykolwiek mieli na swe rozkazy melodyjne słowa, a zobaczycie że oni równie jak i ja, ich skromny następca, pozostaną niememi wobec ogromu. Czém tu sławić, w sposób nieco znośny, to światło, ten eter, morze i zapachy, które wiatr przynosi mi z pomarańczowych gajów? Ostatni z pomiędzy tych co chcą się z posiadania muzy, tancerz nawet, będzie miał nad niemi przewagę. Ten wyskok ku niebu, ku wielkiej wszystkości, wyrazi on przynajmniej znakiem lub giestem, całą swoją osobą, on od stóp do głów zionąć będzie upojeniem swém. A dopieroż malarz! Najpospolitszy, najgłupszy, byle tylko potrafił rzucić na papier linie téj góry, klasztor na jój krańcu, dalej lasy, granice morza, na pierwszym planie położyć to drzewo świeżo złamane wichrem; jakżeż on czuć się będzie szczęśliwym? A jeżeli na domiar szczęścia jest to mistrz, jeżeli może w barwy swe wpromienić tę drgającą jasność na żółtawych ścianach gór, a tam, w głębi, rozproszając morze, które kurczy się i rozszerza i rzuca bałwany swe, jak szczątki tkaniny srebrnej, wyobrazić mgły w których kapie się Wezuwiusz, i dzwonnice białe między młodemi liśćmi kasztanów!”

Pod wpływem tych dziwnych nieco wzruszeń, siadł na odłame przy drodze, ponuro spoglądając dokoła. Zastłżył on poniekąd na to, aby to poczucie nieudolności zamaściło jego zapał, wyszedł bowiem z tém mocném i dumném przekonaniem, że zewnątrz z pewnością napotka muzę, która go od niejakiego czasu przestała nawiedzać. Włożył do kieszeni zwitek papieru, i za każdym urwiskiem skały, w każdym zakątku gaju lub ogrodu, spodziewał się znaleźć temat do jakiego urywku poezyi lirycznej. W chwili powszechnego rozkwitu, i on również poczuł bezmyślną a próżną chęć wykazania jakiegoś objawu swój skromnej istności. Każdy wie o tém zapewne z doświadczenia, że to wielkie

dzieło odrodzenia natury podnosi go, podżega do niesłychanych przedsięwzięć, że go niepokoi jakaś nieokreślona chęć stworzenia czegoś, że nie chciałby sam pozostać bezczynnym i martwym w chwili gdy wszędzie wysypują się kwiaty. Na nieszczęście, ta gorączkowa exaltacya wyradza najczęściej czezość i zniechęcenie.

Jakoż przyjaciel nasz powoli skłonił się ku rezygnacyi, nie uwolniwszy się jednak od uczucia zazdrości, jakie żywił względem tych, którzy podług niego lepiej opatrzeni byli.

„Otóż zaczynają wyruszać ze swych nór, mruczał z miłą gniewną; zapowietrzają kraj swojemi kartonami, parasolami, stołkami polowemi i siadają do tego stołu, który ustawiła natura. Dla nich dosyć wyciągnąć ręce, aby je napełnić. A gdy zmysły nasycą rozkoszą, jeszcze nadto, jako podarunek gospodarza, jako czarę biesiadną, zabierają z sobą szkice i studia, które odżywiać będą ich wspomnienia ilekroć uczują tego potrzebę. Ale my? ale ja? Czyż te psołne bóstwa dlatego mnie tu znęciły, by mnie mocniej upokorzyć? Niedosćże, iż już w Rzymie spaliłem wiersz mój o dziewicy z Frascati, zobaczywszy portret jęj na wystawie? Cóżby znaczył Petrarka z całym swoim talentem wobec płótna, na którémby Tycyan uwięził postać madonny Laury? Kiedy jeszcze nie umiano malować, o! wtedy to były dobre czasy dla poezyi. Pokazuje się, że słowa są to émy niezdolne dolecieć nawet do kraju szaty jaką stroi się natura. Na Północy, gdzie nie ma ani barw, ani kształtów, poezya może się mniemać królową: tu jest ona żebraczką!”

Podczas tego bluźnierczego monologu, oka nie spuścił on z morza, które ciemniało coraz bardziej i na którém tu i owdzie tylko długie świetlane pasma przecinały cień. Nie przyszło do głowy zgorączkowanemu marzycielowi, że w téj chwili malarz nawet rzuciłby pędzel z rozpaczą. Cóż właściwie stanowiło tu urok obrazu, — to rozmaitość tonów i gra odbłyśków w kolejnym pochodzie żywiołów. Potrzebaż odpierać inne pociski, jakie on w zaślepieniu swém przeciwko muzyce wymierzał? Wiemy z kim mamy do czynienia; z jednostką należącą do téj drażliwej klasy ludzi, którzy dla tego tylko, zdaje się, otrzymali dar słowa, aby wiecznie przeżyć samym sobie. I być może ten sam człowiek w końcu

togo opłakanego dnia, w którym chciałby był uciec o sto mil od miejsca pobytu, opamięta się i nie pozazdrości nawet samemu Apellesowi.

Wprawdzie zjawisko jakie ukazało się na lewo od drogi nie mogło złagodzić jego rozdrażnienia; przeciwnie zionął on słowami gniewu:

„Same tylko kontury! zawołał gwałtownie; kilkanaście linii i koniec! Jak ona wygląda idąc stępą na swoim ośle, jedną nogę opierając silnie napłask o grzbiet zwierzęcia, koniuszczkiem drugiej prawie dotykając ziemi; łokciem prawym wsparta na kolanie, brodą muskając rękę która igra z naszyjnikiem, twarzą zwrócona na zewnątrz ku morzu. Jakiż to nawał, jaki ciężar czarnych na szyi kędziarów! Widać odbłysek czerwony, zapewne to strój koralowy, nie; to kwiaty granatu świeżo zerwane. Wiatr igra z jej chusteczką lekko owiniętą koło szyi; oblicze jej ciemno purpurowe; ciemniejszy jeszcze heban jej oczu. Gdybym mógł w tej chwili zbliżyć się do niej i prosić aby zatrzymała się z półgodzinki tak jak jest, i gdybym uniósł z sobą choć sylwetkę tego wspaniałego zjawiska, byłaby to zdobycz na zawsze godna zazdrości. Gdy tymczasem, jeżeli za powrotem spróbuję opisać jak ono było pięknem, powiedzą: „Szczęśliwy, ktoby ją był mógł odmalować!” Nie, wy nie zdołacie uchwycić tej gracyi w spoczynku, tej pełni siły i młodości, tych rysów cudownych, tej głowy która schyla się i wznosi równo z krokiem zwierzęcia, tej królewskiej postawy i nóżki dziecinniej, która buja się niedbale. Pójdźcie wy wszyscy, co władacie pędzlem, i spróbujcie odtworzyć to zjawisko czarowne!”

Podniósł się i czekał na podróżną, która nie zważając na nieznanego, nie zmieniała swęj postawy, tylko popędziła osiełka, uderzając go końcem uzdy. W tej chwili przesunęła się mimo poety, wciąż idąc brzegiem drogi, tak iż on w zamian za pozdrowienie, które zmuszony był głośno wypowiedzieć nie będąc przez nią widzianym, otrzymał tylko kiwnięcie głową; prawda że poruszenie to odkryło mu zwój czarnych włosów zebranych na szyi najpiękniejszej w świecie.

Zjawisko to było jakby otoczone jakąś atmosferą spokoju i pogody. W przejściu swém dziewica żadną zmianą

w wyrazie twarzy nie okazała, iżby spotkanie to mogło spowodować w niej jakieś wzruszenie lub choćby ciekawość bardzo naturalną, kiedy w godzinie samotnej, na ustronnej ścieżce gór, młody mężczyzna i kobieta spotykają się oko w oko znienacka. Byłaż ona panną czy zamężną? Nasz podróżny nie pod tym względem wnosić nie mógł ani z jej ubrania, ani z ułożenia. Pierwsza młodość zdawała się już w niej omdlewać; ale jeżeli w tej nieruchomej twarzy nie można było znaleźć śladów wyrazu oczekiwania, obietnic lub zastrzeżeń młodej dziewicy, zato świeżość i jasność, tak rzadkie u dziewcząt miejscowych, ożywiały kontur jej lica. Ubranie jej było napół miejskie, tylko spódniczka jedwabna zdawała się nieco krótszą a stanik więcej wycięty w ramionach. Zawinęła ona wąskie rękawy, czoła nie osłoniła od słońca; szeroki kapelusz słomiany wisiął u grzbietu osiołka.

Dopiero kiedy na zakręcie drogi miała mu zniknąć już z oczu, poeta porwał się z postanowieniem i szedł prosto ku niej przyspieszając kroku. Wkrótce stanął w pobliżu niej; ale osiołek, który miał także swoją ideę, szedł wciąż brzegiem pozostawiając bardzo mało miejsca między kapeluszem słomianym i górą.

Kiedy poeta zawiązał rozmowę, dziewczica ani na chwilę nie odwróciła się ku niemu. Głos jej był poważny, narzecze neapolitańskie. Wreszcie, pomimo krótkość odpowiedzi, nie widać było z tonu jej ani chęci odepchnięcia zagadującego, ani zamiaru ujęcia go wyrachowaną niedostępnością.

— Wracasz z Sorentu, piękna dziewico — zapytał.

— Nie: z Meta.

— Byłaś tam u przyjaciół?

— Byłam w kościele.

— I zmierzasz do Sant' Agata na odpust?

— Nie, panie.

— A czyż nie ta droga tam prowadzi?

— Nie, panie.

— Zechciej mi ją pokazać.

— Musisz pan wrócić — rzekła nie obracając się — i udać się pierwszą ścieżką na lewo, która cię wyprowadzi na wielki gościniec.

— Jeżeli mam wracać, to wolę wyrzec się odpustu niż przyjemności podróżowania obok ciebie, dopóki nie stanę się natrętnym.

— Jak się panu podoba: nie dla mnie samą tę drogę zrobiono.

— Wiesz, że byłoby to bardzo uprzejmie z twój strony, gdybyś chciała główkę nieco ku mnie zwrócić.

Dziewica uskuteczniła to spokojnie, bez najmniejszego śladu wzruszenia w rysach.

— Dlaczego? — zapytała — co mi pan masz do pokazania.

— To ty, przeciwnie, masz mi pokazać.

— Ja?

— Jesteś bardzo ładną: pokaż mi oczy swoje.

— Morze piękniejsze jest odemnie: patrz pan lepiej na nie, jak na oczy które nie mają co panu powiedzieć.

— Ja na morze patrzę codziennie z mojego balkonu.

— Ale nie ja. Pozwól mi więc pan korzystać ze sposobności. I oblicze jej odwróciło się znowu.

— Czy morze nie zewsząd widać z gór? — zapytał cudzoziemiec.

— Młyn mego brata jest tam w głębi tego wąwozu, przy którym skała tworzy załom: krzaki porośłe na wierzchu tamują nam widok.

— Więc mieszkasz przy bracie?

— Tak, panie.

— Ale niedługo przy nim mieszkać będziesz, chyba że chłopcy tutejszej okolicy łuskę mają na oczach.

— Co mi tam po chłopcach! U brata lepiej mi niż wszystkim kobietom od Sorrento do Neapolu.

— A czy nie doznajesz jakich nieprzyjemności od bratowej?

— Mój brat nie ma żony i nigdy mieć nie będzie. On i ja, ja i on, czegoż nam więcéj potrzeba prócz opieki Najświętszej Panny?

— I jesteś pewną że tak będzie zawsze; że nigdy żadna dziewczyna nie zajmie mu serca?

— Tak pewną, jak tego że żyję. Ale co to pana obchodzi? I ręką popędziła osiełka tak żywo, że aż potrząsnął uszami.

— Dlaczego brat nie towarzyszył ci do Meta — zapytał znowu cudzoziemiec, choć go to również mało obchodziło.

— On nigdy nie oddala się od młyna, chyba jak idzie do spowiedzi, tam na górę do Deserta.

— Czy chory jest?

— On nie może na nikogo patrzeć, tylko na mnie. I widok morza sprawia mu przykrość od czasu jak... Ale któż pan jesteś, że mnie tak wypytujesz? Czy pan jesteś ksiądz, czy może z policyi?

Poeta nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Ani jedno, ani drugie — rzekł — ale czyż nie ty sama zmuszasz mnie do zadawania ci pytań? Gdybyś się twarzą zwróciła ku mnie, wkrótce zaprzestałbym mówić; a tak, to wynagradzam sobie dźwiękiem twojego głosu.

Zmierzyła go poważnym wzrokiem i rzekła: — Co pana tak twarz moja zajmuje? Czy pan jesteś malarzem?

Pomilczał chwilę i uczuł odzywający się gniew na to, że malarzom tylko wolno iść za piękną kobietą. W istocie, któż ma się o to urażać? To wynika z ich rzemiosła. Szczęśliwi ci, co idą w świat z takim paszportem. Bo on, chociażby i miał w moc sztuki swój prawo studyowania rysów pięknej dziewczycy, ale jak jój to dać zrozumieć; jój, która pewnie ani wyobrażenia nie miała o szlachetnej korporacyi poetów?

Niechże i mnie się raz dostanie, pomyślał w duchu i zawołał z całą beczelnością:

— Tak, malarzem jestem i jeżeli pozwolisz... Ale jak ci imię?

— Teresa.

— Jeżeli pozwolisz piękna Teresso, odprowadzę cię do młyna, i naszkicuję portret twój w albumie.

To dosyć ryzykowne żądanie stawił jój tém śmielój, że był niezmiernie ciekawy poznać brata Teressy i rzucić okiem na życie domowe téj samotnej pary. A gdyby przyszło nałożyć głowę, to znalazłby przecie jaki wykręt. Wreszcie czyż to kłamstwo nie powstało z najgwałtowniejszej potrzeby? Nie byłóż dlań niepowstrzymaną koniecznością patrzeć wciąż w oczy Teressy?

Ona zamyśliła się chwilę; następnie rzekła:

— Jeżeli pan jesteś malarzem, zrób mój portret, dla brata. Jak umrę, będzie miał mnie wciąż przed oczyma taką, jaką byłam za życia. Widzisz pan ten szeroki strumień który wybucha z wąwozu i w poprzek drogi rzuca się w dolinę? To on obraca nasz młyn. Musimy zwrócić się na prawo

i iść z jego biegiem. Deszcz wzmógł go bardzo; niepodobna przejść po wązkiej ścieżce wąwozu. Poczekaj pan, siadź na mojego osiełka, ja go poprowadzę.

— Ty go będziesz prowadzić, pieszo! Nie, Teresso: na to nie pozwolę.

— To pan nie pójdziesz dalej; bo choćbyś poszedł boso, tak jak i ja, w wodę, to nie znasz drogi i co chwila będziesz się potykał.

Zatrzymała swego bieguna i lekko skoczyła na ziemię. Podczas kiedy on stał wahając się, zaniepokojony myślą, że ją zwodzi, ona zdjęła trzewiki i pończochy z drobnych nówek, i rzucając nań spokojne wejrzenie, wzięła napowrót lejce.

— Niechże i tak będzie — rzekł z uśmiechem — choć to niegrzecznie wygląda, że ja mężczyzna, tobie zostawiam całą niedogodność położenia.

Wskoczył na siodło i zbliżyli się do strumienia, Teressa naprzód, z lejcami okręconemi koło ręki. Stanąwszy u brzegu strumienia, rzuciła ostatnie i długie spojrzenie na morze; następnie, nie zważając na wodę pluszczącą koło niej, zstąpiła na prawo w strumień który głośno szeleścił po dużych kamieniach i wypełniał całą szerokość wąwozu. Wszczynał się tam chłód, i miasto jasnego światła, nastał półmrok, a po obu stronach wąwozu zwieszały się gęste krzaki.

Siedząc na osiełku, który ostrożnie przestępował z kamienia na kamień, cudzoziemiec obryzgiwany pianą po same kolana, podniósł oczy i o kilkaset kroków nad sobą spostrzegł młyn śmiało zawieszony w szczelinie skały i szary jak ona. Koło stało nieruchomie z powodu niedzieli; poza szelestem wód nie było nic słyszeć, tylko krzyk bujającego nad wąwozem krogulca, który zdawał się rzeźwić pierś parą unoszącą się z nad wody.

Tymczasem Teressa szła jedną stroną wzdłuż ścian wąwozu. Chwilami droga ukazywała się pod jęj stopami, to znowu zapadała w głąb. Dziewica milczała wciąż. Trudno wreszcie byłoby prowadzić rozmowę w głośnym rozgwarze wód, który wzdłuż wydrążonej drogi stokrotnie sam się odbijał. Dopiero za zbliżeniem się do domostwa rozstały się ściany; droga wyszła z wody; młodzieniec, jak tylko uczuł grunt twardniejący pod nogami zwierzęcia,

zeskoczył na ziemię, rad że przynajmniej ktoś trzeci nie był świadkiem jego awanturniczéj peregrynacyi.

Młyn bowiem był pusty; cudzoziemiec i wtedy nawet gdy go miał przed sobą, patrzył nań jak na dekoracyę teatralną. Okiennice były zamknięte; drzwi z brunatnego drzewa, oprawione w szary kamień, nie miały klamki i zdawały się nie do przebycia. Teressa poruszyła haczyk u sztachet wiodących do stajenki wykutéj w skale i wprowadziła tam osielka. Potém, lekkiem naciśnieniem na drzwi od domu, ku wnętrzu, otworzyła je i przestąpiła przez próg, wskazując drogę towarzyszowi podróży.

Jeden rzut oka starczył mu do rozpoznania się w mieszkańcach. W środku obszerna komnata obejmująca całą głębokość budynku; z boku ognisko; ciężki stół i stołki pośrodku; w szafce przyrządy gospodarskie; na prawo od strony skały, izba z łóżkiem; na lewo, przyrząd młyński z kołami. Drzwi wybite w murze dawały widok na przestrzeń zieloną, obrzuconą w jedném miejscu długim promieniem światła. Przeszłość ta mająca kilka prętów kwadratowych obszaru, była tak wyniesiona nad poziom wody, że można było na niej założyć ogród; ale wysokość stawu i chłodne powietrze nie sprzyjały uprawie kwiatów, tak, że grunt okryty był tylko trawą, którą skubała na wybrzeżu pasąca się koza. Ale w miejscu, gdzie przez otwór góry wnikał oderwany promień słońca, rosły,—o rozkoszne dziwo!—dwie piękne pomarańcze pośrodku łąki, wprawdzie mało osypane owocem, ale błyszczące świeżością.

— Czy brata niema, Teresso?—zapytał cudzoziemiec.

Ona powiodła spokojnie oczyma po łące i rzekła:

— Nie widzisz go pan na łące, tam, gdzie zamyka się wawóz? Strumień wstrząsnął murem który go utrzymuje w łożysku, to brat mój sypie teraz groblę poza wałem, ażeby nie zalało łąki. Brat mój myśli o wszystkim, wszystko zrobić potrafi. Mógłbyś pan szukać tysiąc lat po całym świecie, nie znajdziesz nikogo, coby miał więcej rozumu jak on.

— I czemuż marnuje go w téj samotni?

— Taka jest jego wola.

— A czyś ty wzrosła w tym młynie, Teresso, czyś nigdy nie widziała światła więcej nad to co świeci w gałę-

ziach tych pomarańcz? Nie sędzę; wszak to nie po krótkiej drodze do kościoła w niedzielę ogorzało twe lice.

— Nie—odpowiedziała—cztery lata niespełna, jak mieszkamy razem i jak Tomasz kupił ten młyn. Kiedyśmy mieszkali w Neapolu i kiedy Tomasz zajmował się rybactwem, nie miał on jeszcze wyobrażenia co to jest młyn i jak się obracają koła. I zaraz pierwszego dnia po sprowadzeniu się tu, kiedy dawny młynarz umarł, puścił wszystko w ruch, tak jakby całe życie swoje nie innego nie robił. O! Tomasz, to człowiek! Nawet na dworze niema dzielniejszego!

W ciągu jej mowy cudzoziemiec nie zdołał dostrzedz rysów człowieka, który krzątał się bez wytchnienia na skraju łąki, nie obróciwszy się ni razu w stronę młyna. Widział tylko wysoką postawę, czarne włosy kręcące się pod szarą czapką, przyodziewkę z ciemnego sukna lekko spływającą po ramieniu.

— Co w nim obudziło wstręt do miasta i do tak korzystnego rzemiosła?—zapytał siostry stojącej obok.

Ona jakby nie usłyszała zapytania.

— Wiesz pan co?—rzekła doń—siadaj i zacznij mój portret, ażeby był skończony nim brat mój wróci. Wtedy zapytam go, czyj to portret, a jeżeli go pozna, zapłaci panu wiele będziesz żądał, bo trzeba ci wiedzieć, że my wcale nie jesteśmy ubodzy. Mieszkając w Neapolu brat mój trzymał siedmiu rybaków i w siedm łodzi wyprawiał się na morze, a mógł był nawet kupić grunt zamiast tego młyna. Na co mu te pieniądze, z troską która mu ciąży na sercu! Siadaj pan, przestanę już gadać; musisz pan narysować na papierze usta moje nieme i to bardzo dokładnie, i oczy i wszystko.

Poeta nasz znalazł się w bardzo przykrém położeniu, widząc iż rzecz przybiera zakrój poważny.

— Troszkę tu zaciemno—rzekł, a serce biło mu mocno.

— Idźmy na łąkę.

— Tam znowu zajasno, Teresso. Nie uwierzysz, jak to trudno znaleźć odpowiednie światło.

— Zaczekaj pan!—zawołała, i spiesźnie otworzyła okiennice. Teraz zdaje mi się że w izbie jest bardzo miłe

światło. Ja przynajmniej, gdybym się była uczyła, narysowałabym pana bardzo podobnego na ścianie.

— A więc śmiało—zawołał—zaczynamy.

Podsunał dwa krzesła pod okno wychodzące na strumień i prosił ją aby usiadła. Ciemny rumieniec oblał lica dziewczycy, kiedy uczuła na sobie badawcze jego wejrzenie; oczy jej, nad któremi rzęsy wznosiły się i opadały, migocząc jak skrzydła mewy, razem stały nieruchomie i w chwilę skutkiem wyteżenia wzroku okryły się mgłą wilgotną. Prosił ją, aby dała całą swobodę swym ruchom, że i mimo to robota nie pójdzie gorzej. Nie mógł przenieść na siebie, aby się cokolwiek nie zająć jej włosami.

— Teresso!—zawołał.

— A co?

— Nic....

W obec wielkości wyciśniętej w jej spojrzeniu, nie mógł zdobyć się na żadne słowo czułe lub pochlebne. Jakżeż czoło jej było szerokie, silne i jednolite! Jaki spokój w zgięciu brwi! Przeklinając chwilę która uczyniła go poetą a nie malarzem, mocno postanowił z półgodziny krzątać się, jak gdyby zajęty był rysunkiem i nasycać się jej widokiem; potem podrze swą ćwiartkę papieru, zmówi nieudanie się na złe światło, na oczy niewywczasowane,—i pożegna ją.

Wybrał miejsce, udał że rozpoczyna, gdy spostrzegł naprzeciw siebie, portret mężczyzny w czarnych ramach, zawieszony w sypialni, który nastroczył mu sposobność przerwania roboty.

— To piękny portret brata!—rzekł, i wstał, aby mu się przyjrzyć zbliska. Czyjego to pędzla? To wyborna robota! Twarz pełna spokoju i zapału! Jeszcze ciekawszy jestem zobaczyć go.

— Tego, którego wyobraża to płótno, nie zobaczysz pan już za życia.

— Więc to nie brat?

— To jego przyjaciel: umarł zamłodu i wiele łez popłynęło po nim.

— Wspomnienie to sprawiło ci przykrość, Teresso; wybacz mi te niewczesne pytania.

Usiadł zuów przy oknie. Rumieniec spadł z jój oblicza, oczy zdawały się zagasłe. Po chwili, w której nic nie było słyhać prócz szmeru w wąwozie, ona zaczęła sama:

— Masz pan słusność, był to człowiek zarazem łagodny i namiętny; dziecko mogłoby go zwieść, ale dla tych których kochał, rzuciłby się był w Wezuwiusz, gdyby tego odeń zażądali. „Ludzie wszyscy są źli”—mawiał Tomasz; ten jeden był mu wyjątkiem, i słusznie. Kto spojrzał na niego, był przekonany, że czystsza dusza nie istniała pod słońcem. Cóż dziwnego, że Tomasz nienawidzi morza, które pochłoneło mu takiego przyjaciela? że ma serce zbolełe od dnia, gdy udał się z nim na połów ryb, z którego powrócił sam? Nikt mu niema za złe, że od téj chwili stał się ponurym i powziął wstręt do swego rzemiosła.

— Więc on był rybakiem, tak jak i twój brat?

— Był to śpiewak, syn biédnej rodziny rybackiej, rodzice jego żyją jeszcze. Kiedy był jeszcze dzieckiem, serce topniało słysząc go śpiewającego w kościele. Później, jeden z jego stryjów kazał go uczyć śpiewać; przeznaczono go do opery. I wyobraź pan sobie: w przeddzień pierwszego występu, kiedy cały Neapol o tém tylko mówił, pod wieczór przyszedł on do mego brata; znali się z sobą od dzieciństwa i byli ściśle związani. „Tomaszu—rzecz—czy popływamy jeszcze po morzu? — „Mam jeszcze zajęcie Nino—odpowiada brat—muszę zwinąć sieci i poczekać na Beppa, mojego robotnika.— „Zostaw go w domu, Tomasz, ja ci pomogę; podwójne krzyżyki nie wybiły mi z głowy dawnego rzemiosła.” I wypłynęli oba.... widzę ich dotąd, brat mój przy rudlu, Nino przy wiosle; włosy jego lśniły się pod wieczorném słońcem; oczy jego zwrócone były na nasze mieszkanie: obraz ten wciąż mi przed oczyma stoi. Zaledwie słońce zaszło, słyszę uderzenia wiosła, biegnę do drzwi na ich powitanie. Ale Tomasz był sam jeden w łodzi, uderzał w wodę jak szalony, i zawołał na mnie: „Dobry wieczór, Teresso! pozdrawia cię Nino! śpi on już tam, na dnie morza.” I nic już nie słyszałam więcej.

— To rzecz okropna! Tak młody i pełen nadziei! Ale jakże to stać się mogło, skoroć byli we dwóch i mieli łódź?

— Ciężar sieci pogłębił ją. Kołek za który sieci były zaczepione raptem się wysunął i wyskoczył w morze.

Nino przechylony wyciągnął ręce dla pochwycenia sieci i zaplątał się w nie; łódka przewraca się do góry dnem, a Tomasz wypłynawszy na wierzch, zobaczył tylko pusty statek płynący spokojnie w purpurze wieczorniej.... Po jego przyjacielu został tylko kapelusz i czarna wstążka, którą doń kilka dni temu przyczepiłam.

— Biędny Nino!

— Żal go panu? Poszedł on prosto do nieba i śpiewa swoim złocistym głosem przed tronem Madonny! Żałuj pan brata mojego, bo spokój jego serca pogrzebiony w falach i żaden mu go nie powróci nurek. Od tego dnia nikt nie widział uśmiechu na twarzy mojego biédnego Tomka. Przed odejściem w góry spalił on kódkę i sieci, a na brzegu tłuny stanęły i mówiły: „Dobrze robi biédny chłopak!” Bo wiadzano o tém, że oni żyli jak dwaj bracia.

Zamilkła i wzrok zatopiła w głębi wąwozu. Cudzoziemiec trzymał na kolanach ćwiartkę papieru i myślał odgadywał szczególną dolę wypisaną na obliczu dziewczicy. Zdawało się że zeń wszelka gorycz zesza, i że czysty obraz młodzińca objawiał się jój duszy, a dźwięki jego „złocistego głosu” brzmiały w jój uszach. Tém żywszém było jego przeżalenie, gdy te rysy szlachetne zaćmiły się pod wrażeniem jakiegś gwałtownej namiętności. Jak łabędź na widok węża, porwała się z krzeszła ze drzeniem i krótkim syknieniem; pierś jój wznosiła się i opadała nagle, usta zbładły i otwierały się konwulsyjnie.

— Teresso, na Boga! co ci jest? — zawołał poeta.

Ona daremnie siliła się powiedzieć słowo. Wtedy wzrok młodzińca poszedł za jój wzrokiem, który utkwiał w jednym punkcie na skraju wąwozu. Ale to co zobaczył zwiększyło tylko jego ciekawość, bo przedmiot wychylający się z drogi podwodnej nie miał nic przerażającego. Była to postać niemniej powabna jak Teressa. Młoda kobieta, blondynka, cało czarno ubrana, szła drogą ku młynowi, ostrożnie stąpając po wodzie. Buciki i pończochy trzymając w lewej ręce, w prawą zebrała fałdy spódniczki, wprawdzie nieco śmieliej niż Teressa. Kapelusz słomiany, przy którym powiewały szerokie czarne wstążki, spadł jój na ramiona jak gdyby go wiatr zsunął, i odsłaniał twarz pogodną, zdala po-

łyskującą białością i szkarłatem. Oczy spuszczone wyszukiwały drogi.

— Kto jest ta kobieta, Teresso? — zapytał młodzieniec — i dlaczego twarz twoja mieni się na jój widok?

— I cóż on na to powie — szepnęła do siebie Teressa, nie zważając na jego zapytanie. Jeszcze wypiękniała... tém gorzej! Zkąd ten czarny ubiór? Czyżby stary umarł... Najświętsza Panno!

Tłum myśli przemknął po jój głowie. Niech przyjdzie, rzekła, niech przyjdzie! Nie boimy się jój, znamy ją dobrze. Potém, przypominając sobie, że nie jest samą zawołała pośpiesznie: — Musisz pan wejść do téj izby." Ta kobieta nie powinna cię tu zastać; ona mnie nienawidzi, i Bóg wie jakie robiłaby plotki na mój karb, gdyby zastała tu obcego mężczyznę. Wstań pan, i na miłosierdzie Boże, sprawiaj się cicho, aby cię nie usłyszała. Sądzę, że niedługo zabawi.

— Jeżeli przeszkadzam, Teresso, odejdę drugą stroną wawozu.

— Nie rozpoznałbyś pan drogi, a nie chcę abyś schodził i przechodził obok czarownicy.

— Ale czy zwróciłaś uwagę, Teresso, że gdy brat wejdzie do téj izby i zastanie obcego....

— Mój brat mnie zna! — odrzekła dumnie. Proszę wejść.

— Jeszcze słowo. Kto ona jest? Czego się od niej obawiasz?

— Wszystkiego, ale znam Tomasza. Jest to stryjenka nieboszczyka. Kiedy znaleziono ciało, które morze wyrzuciło, niedaleko Puzzuoli, jój oko było suche: może Bóg jój przebaczy, ale ja nie! bo ona nienawidziła mnie o to, że ja za piękniejszą uchodzę. Teraz chce mi odebrać brata, podstępna! Ale Tomasz ją zna: on i ja, ja i on, nikt nas nie rozdzieli! Wejdz pan do izby i nie ruszaj się; ja potém powiem bratu, dlaczego tak zrobiłam.

Wpuściła go do izby i drzwi za nim zamknęła; usłyszał następnie jak z całym pośpiechem biegła na łąkę. On zaś, pozostawszy sam w więzieniu, nie mógł zrazu oprzeć się jakiegóś przykrości i niespokojowi. Wszakże wzięło nad tém górę to, co było interesującym w jego przygodzie; namyślił się co ma czynić w razie jakiegobądź wypadku. Tymczasem oglądał różne przedmioty młynarskiego gospo-

darstwą, tak dla siebie obce, które stały oparte o ścianę. W rogu stało łóżko Tomasza, na kołdrze leżała książka modlitewna, w głowach do ściany przybita była kropielniczka. Jedyne światło wnikało tam od strony koła wielkimi otworami, poprzez które widać było skały i urwiska z przeciwnego brzegu wąwozu. Ale w ścianie oddzielającej klatkę młynową od wielkiej izby środkowej spostrzegł on również otwór, który dozwalał obejmować okiem większą część tej izby. Siadł więc przy tym otworze i z ciekawością oczekiwał tego co tam zajdzie.

Wkrótce brat i siostra, wracając z łąki, weszli do młyna. Spostrzegł więc twarz Tomasza pod gęstą czupryną czarnych kędziorów, bliźnięcego podobieństwa z twarzą siostry. Ruch głęboki i powstrzymywany w mięśniach ciała, oko ciemne i groźne, nadawały złowrogi wyraz jego postaci. Długo stał on przed stołem z rękami skrzyżowanymi na piersiach i chwilami poruszał głowę, jakby uważnie słuchając siostry, która zbliżona doń, szeptała coś cicho i namiętnie, czego cudzoziemiec usłyszeć nie mógł. Ale myśli Tomasza zdawały się być gdzieindziej. Chwilami drgały mu wargi, ale milczał przez cały czas. Zdawał się nie mieć więcej nad lat trzydzieści; cudzoziemcowi zdawało się, że nigdy nie widział piękniejszej męskiej postaci.

Wtém zastukano do drzwi zewnętrznych. W mgnieniu oka Teresa odstąpiła od brata i rzuciła się w krzesło przed kominkiem, przy którym stała jej kądziel. Gdy Tomasz, nie zmieniając postawy, zawołał: „Wolno!” i drzwi się otwarły, Teresa obracała wrzeciono, jakby od godziny była przy robocie. Rysy jej przybrały wyraz zimnego spokoju.

Młoda kobieta weszła z miną cokolwiek wahającą, i przy pierwszych powitaniach poprawiła na sobie ubranie, widocznie dla pokrycia zmieszania. Otrząsnęła krople wody z brzegów sukni, postawiła buciki na podłodze i wsunęła w nie bosc nóżki. W każdym jej poruszeniu była miękkość, gracya, częścią wyrachowana, częścią instynktowna. Twarz jej ożywiona znużeniem drogi, zdawała się rozognioną. Czarny ubiór tém dziwniej odbijał rzadką w tych południowych stronach białosć pici i jasność płowych jej włosów. Niższą była od Teressy, ale pełniejszej i giętszej tuszy,

ruchów żwawszych. W oczach jęj iskrzyły wszystkie ognie neapolitańskiego nieba.

— Dobry wieczór, Teresso. Jak się miewasz, Tomaszu? — zapytała.

— A, to ty, Łucyo — odezwała się dziewica. Co cię sprowadza z Neapolu do naszėj samotni?

— Siadaj, Łucyo, i rozgość się — rzekł brat, nie poruszysz się z miejsca.

Łucya na to zaproszenie usiadła przy oknie, wciąż zajmując się ubraniem... — Miałam interes do Carotta, rzekła zdejmując kapelusz i poprawiając włosów które spadały jęj na czoło; więc z powrotem wstąpiłam i do was, Teresso. Droga w te okolice przykra, mieliśmy bardzo zły czas.

— Dla naszego młyna był on bardzo pożądanym, woda wezbrała — odpowiedziała Teressa tonem urwanym. Łucya wodziła oczami po pokoju i ukradkiem spozrzała na Tomasza, który z pozorną obojętnością kreślił jedną przy drugiej linię kawałkiem kredy leżącėj na stole. Trzy te osoby wiedziały, że przyjdzie wymówić słowo stanowcze, i każda z nich chciała innęj zostawić pierwszeństwo.

— Przynieś szklanke wina dla Łucyi — rzekł Tomasz. Teressa ani ruszyła się z miejsca od roboty. Kobieta odezwała się po chwili wahania:

— Dajmy pokój winu, mało mam czasu. Wieczór nadchodzi a mój statek czeka na mnie w zatoce Carotta, bo chcę wrócić na noc do Neapolu. Jakżeśmy się dawno nie widzieli! Czemu nie przychodzisz do Neapolu, Teresso? Zima musi być przykrą tu, w górach.

— Żadna pora nie jest mi przykrą przy bracie — odparła Teressa. Poco mam chodzić do Neapolu: nic a nie mnie tam nie ciągnie.

Zamilkli wszyscy troje. Nareszcie młynarz zwrócił się do siostry, mówiąc spokojnie: „Czyś podesłała osiełkowi na noc?”

Teressa zadrżała, zrozumiawszy jego zamiar; ale podniósłszy oczy poznała po stanowczém spojrzeniu brata, że taka jest jego wola niecofniona: prędko więc złożyła w kąt wrzeciono, opuściła komnatę i nazewnątrz umyślnie krzątała się hałaśliwie, aby oddalić od siebie wszelkie podejrzenie, że poszła podsłuchiwać.

Serce zaczęło bić poecie na miejscu obserwacyi, gdy dwoje tych ludzi zobaczył sam na sam. Choć przeszłość ich znaną mu była tylko w połowie, już na zasadzie tego co wiedział przeczuwać mógł jedną z najdziwniejszych scen. Zatrzymywał wzrok to na młynarzu, to na pięknej kobiecie siedzącej przy oknie i własne jego położenie stawało się co chwila przykrzejszém, kiedy pomyślał, że słów mających wyjść z ust tych dwojga osób, ludzkie ucho słyszeć nie powinno. Już myślał usunąć się w najoddalniejszy zakątek izby w której się znajdował, ale każdy krok mógł go zdradzić, tak że zmuszonym się widział pozostać na miejscu.

Milczenie w sąsiedniej komnacie trwało jeszcze czas jakiś: potem ozwała się Łucya:

— Twoja siostra nienawidzi mnie, Tomaszu; cóżem ję złego uczyniła?

Brat ruszył ramionami.

— Często—mówiła dalej—nie mogę się uspokoić na myśl, że to może ona jedna zatrzymała cię tu, zdala od nas. Ona zazdrośną jest o każde słowo jakie powiesz do innój: ona chce cię mieć dla samój siebie.

— Mylisz się—odparł sucho;—ja miałem własne powody do opuszczenia Neapolu.

— Wiem, Tomaszu, wiem. Że po takim nieszczęściu morze mogło ci obrzydnąć, to i dziecko zrozumieć. Ale to nie byłoby potrwało, gdyby cię Teressa nie nakłoniła do zamknięcia się w tém ustroniu dzikiem i odludném. Czyż nie równo w nas wszystkich ten cios ugodził? Ale pomimo to trzeba zdać się na wolę Pana Boga i pozostać z ludźmi. Złe tak jak i dobre pochodzi z nieba; nie powinno ono nas tak zatwardziaćmi czynić, ażebyśmy aż mieli znienawidzić ludzi, którzy nic na to nie pomogą!

— Nie pomogą! To jeszcze pytanie.

Spojrzała nań przenikająco.

— Nie rozumiem cię, Tomaszu. Wielu rzeczy nie rozumiem od twego wyjazdu. Dlaczego listy moje, które ci pisałam przez wiejskiego chłopca Angelo, pozostały bez odpowiedzi? Zaręczał mi, że ci samemu do rąk je oddał obydwaj: inaczej, mogłabym sądzić, że ci Teressa zabroniła odpisywać!

— Listy? Spaliłem je.

— A cóż dziś odpowiadasz na nie?

— Mąż twój umarł, jak powiadał mi Angelo. Bardzo mi to przykro, był to poczciwy człowiek, i to com przeciw niemu zawinił; bardzo mi dziś jeszcze na sumieniu cięży. Jesteś młodą i piękną, Łucyo; niebawem znajdziesz drugiego: bądź z nim szczęśliwą.

Mówiąc to, rzucił zdala od siebie kawałek kredy, i z rękoma w tył zaczął chodzić po izbie; ona patrzyła za nim smutno i rzekła:

— Czy Teressa wie, że ja jestem wdową?

— Ubranie twoje dopiero teraz dało jój znać o tém; przez te cztery lata imię twoje nie powstało na ustach naszych.

— Jeżeli nie czytałeś listów moich, to nie wiesz, że mąż mój zapisał ci trzysta piastrow. Ale musisz sam przyjść do Neapolu i stawić się do sądu pokoju, gdzie są złożone pieniądze.

— A niech tam leżą i do dnia sądnego—odparł bez namysłu—albo może wolisz je oddać na ubogich. Co do mnie, ja nie pójdę po nie, choćbym miał nie wiedzieć jak gwałtowną potrzebę, do czego, dzięki Bogu, daleko. Pieniądze od twego męża, Łucyo! prędzejbym umarł z głodu.

— Co ty mówisz? — dodała cicho, a głos jój drżał z przerażenia.— Co mam o tém myśleć? Dawniej przecież inaczej bywało między nami, Tomaszu.

— Tém ci gorzej!

Powstała z krzesła, postąpiła krokiem ku niemu, niepokojnym wzrokiem szukając jego oczu, których Tomasz nie odrywał od stołu.

Stała tuż przy tym stole, naprzeciwko niego; gwałtowność poruszenia wstrząsnęła nim i oczy jego wzniosły się do góry: cała groza zrozpaczonej namiętności wyryła się na jego twarzy. .

— Ja nie odejdę ztąd — rzekła z energicznym postanowieniem—póki nie powiesz mi wszystkiego. Tomaszu, mąż mój umarł, Nino oddawna spoczywa w grobie. W domu moim twoja siostra będzie panią, a ja służą jój. Na pierwsze przykre słowo z méj strony będziesz mógł mnie wypędzić, jak gdybym podłożyła ogień pod dom twój. Ty mówisz, i ja to widzę, że twe serce nie zmieniło się; któż tedy staje między nami, Tomaszu?

Stół drżał na którym opierał się młynarz.

— Ja ci powiem—jęknął głucho—ale zaraz potem idź i o nic mnie więcej nie pytaj:—między nami stoi Nino!

— Zwodzisz mnie, odpowiedziała — chcesz odwrócić myśl moją od Teressy, dlatego abym ja jej kiedy nie odpłaciła za jej dzisiejsze względem mnie sprawki. Prędzej czy później pożalujesz ty tego, żeś sobie igraszkę czynił ze mnie, biednej kobiety, a potem odepchnąłeś od siebie! I ona ukarana będzie za to, że wbrew naturze, ukrywa cię tu przed słońcem, jak skąpiec skarb swój. Odchodzę.

— Na krew Chrystusa Pana, Łucyo; ja cię nie zwodzę. Jest wprawdzie jedna rzecz, której siostra nie przebaczyła ci dotąd; ale to nie to, i ty nie wiesz co znaczą te słowa, kiedy powiadam: że Nino stoi między nami. Nikt tego nie wie, a Teressa najmniej; gdyby wiedziała, umarłaby.

— A gdybym ja wiedziała?

— Zapomniałabyś na zawsze o biednym Tomaszu, i nie znalazłabyś już nigdy drogi do tego młyna.

Ukrył twarz w obu dłoniach.

— Mylisz się—rzekła—to nie może nigdy nastąpić! Wszystko co stoi między nami jest widmem: ukaz mi je, a jedno moje słowo rozwieje tę męgę; a jeżeli nie, to nie znajdę spoczynku ani w dzień ani w noc, i nie upłynie rok a dowiesz się, żeś mnie wtrącił do grobu!

Zadrżał wstrząśniony zgrozą i zdawał się staczać ostatnią walkę. Następnie, znękany, z twarzą zaognioną, wlepił w nią długie spojrzenie, i rzekł:

— Musimy raz skończyć; nie chcę powtórnie być narażonym na tę straszną mękę, by widzieć się z tobą i wyrzekać się ciebie. Przysięgnij mi na zbawienie duszy, Łucyo, że nie powiesz nikomu tego, czego nikt nigdy z ust moich nie usłyszał, a co ty masz usłyszeć. Nawet przy konfesyjonale i na łożu śmiertelném, żeby i jedno słowo nie wyszło z ust twoich! Nie chodzi tu o moją krzywdę, gdyby ludzie dowiedzieli się o tém, ale Teressaby tego nie przeżyła. Przysięgnij mi!

Podniosła rękę: „Na zbawienie duszy przysięgam ci, Tomasz, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, prócz ciebie i mnie.“

Westchnął głęboko i rzucił się na krzesło, ręce oparł na kolanach i oczy utkwiał w ziemię.

— Łucyo— rzekł półgłosem — powiedziałem prawdę; Nino stoi między nami, teraz po śmierci, tak jak dawniej za życia. Był on czysty i bez zmazy, jak Abel, i on także trafił na swojego Kaina. Kain uciekł na pustynię: teraz rozumiesz?

Milczała.

— Masz słuszość — mówił dalej. Kto może zrozumieć? Ale są chwile, w których człowiek oddaje się piekłu, kiedy jakoby siedział w człowieku jakiś duch obcy, który krępuje wszystkie dobre myśli a złym pozwala tylko robić wszystko co im się podoba. I czyż wtedy człowiek sam winien jest temu, co ztąd wynikło? Chciałbym znaleźć księdza, któryby mi to wytłumaczył: nikt nie może.

Jak ja kochałem Nina! Zabiłbym był waryata, któryby mi coś złego o nim choć skinieniem powiedział. Kiedy śpiewał, zapominałem wszystkich trosk; kiedy wchodził do mnie, dom mój się rozjaśniał. Do własnego brata, do syna, nie możnaby mieć więcej przywiązania. Byłem nim dumny. Kiedy w Neapolu zaczęto mówić o jego głosie, powtarzałem ludziom jak szalony: „To nasz Nino, mój dawny towarzysz z dziecinnych lat.” I takem się z niego chełpił, jak gdybym głos jego ułowił w morzu i darował mu go. A jak on ze mną postępował! Kiedy był już sławnym, kiedy śpiewywał u książąt i hrabiów, kiedy piękne panie ubiegały się o jego spojrzenie, on tak jak dawniej przychodził do nas i wołał być z nami jak gdziekolwiekbydz; a czasami kiedym go spotkał na ulicy Toledańskiej, idąc z sieclami na ramieniu, on porzucał znajomych, brał mnie pod rękę i szedł ze mną kawał drogi. Nikt nie był tak uprzejmym jak on, ani cienia fałszu, ani jednej plamki na sercu!

Mógłby być kochankiem wszystkich kobiet w Neapolu; ani dbał o to. Ja sam często żartowałem z niego; nie wiedziałem wtedy co go odwracało od przypadkowych miłości.

Jedyne złe jakie mi wyrządził, było to, że mnie zaprowadził do swego stryja, kiedy ten opuściwszy Kapuę osiedlił się w Neapolu i kupił Syrenę. Przybył on głównie tam dlatego, aby być świadkiem powodzeń Nina, które były jego dziełem. Oh! dlaczegoż on i ciebie sprowadził, Łucyo! Od tej chwili ja utraciłem Nina, nie z jego wprowadzie winy. Ale

prócz ciebie i mnie, któż mógł mieć mu za złe, że dba o honor stryja?

Nigdy on nie czynił mi żadnych wyrzutów z powodu moich sprawek miłosnych, choć nie było mu to bardzo miłym, gdym mu opowiadał o téj lub owéj kobiecie, która trzymała mnie w swoich sieciach. On był niewinnym jak archanioł Rafał; ale znał on świat i wiedział że nie wszyscy są jemu podobni, a świata przekształcać nie myślał. Nawet kiedy domyślił się stosunków naszych, Łucyo, nigdy słowo nagany przez usta jego nie przeszło. Ale wiesz o tém dobrze, on jeden odwracał nasze projekta i podstępny. Pieniłem się o to, sto razy przysięgałem w duchu, że jak go tylko zobaczę, zerwę z nim jeżeli nie przestanie strzedz progów twego domu zazdrośniej niż sam stryj, niż brat lub kochanek. Bo on nie był w tobie zakochanym i zazdrość w niczem nie przyczyniała się do jego postępowania. Ale gdym go w téj chwili zobaczył, ugryzłem się w usta, słowa nie mówiąc, a moja wyuzdana ku tobie namiętność wolniała na jego głos.

On zdawał się czytać myśli moje w sercu. Często mawiał mi o swym stryju, wystawiając mi jego dobroć, uczciwość i wszystko co on dla niego uczynił. Potém patrzył na mnie wzrokiem ufności, jakby chciał mi powiedzieć: „Nie, Tomku, niepodobna abyś ty zasmucił człowieka, któremu przyjaciel twój zawdzięcza wszystko.”

Rozumiałem ci ja go wybornie, ale potém kiedyś znów zobaczył ciebie, wściekłość namiętności obalała wszystkie moje postanowienia, wszystkie skrupuły. Sumienie moje schło jak drzewo obok potoku lawy. I trwać mi rok cały w takiem położeniu, mnie, com nie miał nigdy cierpliwości dłużej nad dwa tygodnie! Już raz, kiedy stryj udał się do Ischia, pamiętasz, i my oddychaliśmy swobodnie, a on przyszedł prosić o pokój w Syrenie, dla przepisania nót, pod pretekstem że hałas w domu przeszkadzał mu robić, już wtedy powziąłem myśl czarną. Chciałem mu wlać do wino tego com dostał od jednéj znajoméj mi osoby; to miało uspić człowieka na dwadzieścia cztery godzin. Ale przeraziłem się. Gdyby téż to była trucizna? Albo gdyby głos jego na tém ucierpiał? Dałem pokój, ale zostało mi żądło w sercu

przeciwko niemu, i odtąd unikałem go, bo widok jego raził mnie, jakgdyby on nastawał na moje życie. *

Zbliżał się dzień w którym on miał wystąpić w operze. Wiesz Łucyo, jakeśmy się z sobą ułożyli na wieczór. Gdybym był nie znał ciebie, mógłby mi dom zgorzeć do fundamentów, nie byłbym się ruszył z miejsca w teatrze przed ostatnią nutą śpiewu, który miał być tryumfem Nina. A teraz myślałem tylko o tém co nastąpi dla mnie, jeżeli po pierwszym akcie wysunę się ku Syrenie, gdzie pod pozorem słabości miałaś pozostać i nie towarzyszyć wujowi do teatru.

W przeddzień przyszedł do mnie Nino, jak wiesz, i chciał bym mu towarzyszyć na morze. Czy anioł, czy szatan wydał mu nasz projekt? Bo wiedział o wszystkim, i za ledwie wypłynęliśmy na morze, wypowiedział mi to w oczy, a pierwszy raz dopiero z tém się do mnie odzywał bez ogródki. Wyparłem się. „Tomaszu, zawołał, jeżeli mi nie przyrzekniesz, w imię naszej stariej przyjaźni, odstąpić od swych zamiarów, stanie się to dla mnie nieszczęściem. Będę śpiewał jak kruk, wygwizdają mnie, i wszystkie moje nadzieje w proch się obróca; bracie mój, rzekł, wymagam tego od ciebie. Mogłbym pójść do stryja i zawiadomić go, ale wtedy wiedziałby jaką ma żonę, a choćbym i nie wymówił twojego imienia, niemniej jednak rozdzieleni byłibyśmy na zawsze: przyrzeknij mi więc, wszakżem wart tej ofiary od ciebie.” Milczałem uparcie, wpatrując się w sieci, i w końcu nie słyszałem już nic z tego co on do mnie mówił, bo obraz twój stał przedemną a krew świstała mi w skroniach.

W godzinę potem wróciłem sam w łodzi na brzeg....”

Ostatnie wyrazy spływały głucho i niewyraźnie. Dwie te postacie: on na krześle, z twarzą coraz bardziej ku kolonom schyloną, ona blada jak trup, były nieruchome jak dwa posągi. Tymczasem w komnacie zaczynało już się zciemniać, a nazewnątrz poza szelestem strumienia brzmiał głos Terressy, która śpiewała barkarolę jakby dla oznajmienia bratu, iżby oszczędził jej przykrości dłuższego oczekiwania. Jakoż głos jój wyrwał go z zadumy. Wstał z krzesła i przechylił się ku kobiecie stojącej nieruchomie:

— Nie, Łucyo, ja wtedy nie skłamałem. Sieci pociągnęły go w przepaść, nogi mu się uwikłały; nie ja przechyliłem łódź!... Ale to nie wszystko. Jam się jeszcze trzymał

na krawędzi, kiedy on był już w morzu. Złodowaciałem, oczy moje błędne utkwily w toni która zamknęła się nad jego głową; widziałem bąble wody które zdawały się wołać na mnie: „On tam jeszcze oddychał!” A teraz, teraz jedna ręka wychyla się z bałwanów, szukając ratunku w ręce przyjaciela, odległą była odemnie zaledwie na długość łodzi; pierścień srebrny błyszczał pod słońcem na palcu: dość mi było podać mu wiosło i on byłby żył, Łucyol! Czyż nie chciałem go ocalić? Czyż nie powinienem był chcieć? Nie trzymałem wiosła na kolanach; dość mi było ręką poruszyć, a ręka z pierścieniem byłaby za nie pochwyciła. Ale szatan był w mojej piersi i paraliżował każdą moją żyłę i zatrzymywał każdą kroplę krwi; byłem jakby okuty w łańcuch, jak uderzony apoplexyą, w głowie mi się zawracało; chciałem krzyczeć i oczu nie odwracałem od téj ręki, a ta ręka zagłębiała się, naprzód po pierścień, następnie po koniec palców, aż znikła.

Wtedy dopiero piekło mnie puściło. Krzyczałem jak wściekły, wyskoczyłem z łodzi tak że aż się wywróciła, dałem nurka, wypłynąłem na wierzch, zanurzyłem się znowu, a znaleźć go nie mogłem, chociażem ze sto razy skakał po sztukę monety, by ją z dna morskiego podjąć.

Nareszcie wróciłem do łodzi, z sercem rozdartém rozpaczą. Ale jeszcze nie dopiłem miary. Kiedym wszedł do domu, siostra moja zwinęła się sama w sobie jak płomień gasnący. Pierścień na téj ręce był jój pierścieniem; w przeddzień z nim go zamieniła... a jam nic o tém nie wiedział!“

Znowu upadł na krzesło i podniósł twarz w górę z oczyma zamkniętymi. Cudzoziemiec z młyna słyszał długo wychodzący jęk z jego piersi, która zdawała się obciążoną snem okropnym, gdy nieszczęśliwa kobieta przesuwiała kilkakrotnie ręką po czole, jakby zeierając krople zimnego potu. Straszne rzeczy które usłyszała, wyszlachetniły jój rysy miękkie, nacechowane zmysłowością: stała się piękniejszą jak wprzódy, ale nie myślała już o tém.

Tomasz zdawał się przebudzać z półsenności.

— Czy jesteś tu jeszcze, Łucyol? — zapytał szybko. Czego chcesz jeszcze od Tomka? Czy nie widzisz między nami téj ręki z pierścieniem srebrnym, która wszędzie wznosi się przedemną, skierowana ku niebu? Gdybyśmy stanęli u sto-

pni ołtarza, i gdybyś mi podała rękę z pierścionkiem złotym, włosyby mi powstały na głowie, oczy krwią zaszyły, złoto wydałoby się srebrem, ręka Łucyi ręką Nina, i szatany wypędziłyby mnie z kościoła batami. Wróć do siebie, Łucyo, zapomnij o wszystkiém, dochowaj przysięgi i módl się za Tomasza!

To mówiąc powstał i zbliżył się do komina. Cudzoziemiec zobaczył Łucyę drżącą z gwałtownego wzruszenia. — Czyż te rzeczy nie zmieniają się nigdy? — zapytała głosem cichym.

Odwrócił się i wstrząsnął głową na znak zaprzeczenia.

— Niechże cię więc Bóg ma w swój opiece, Tomaszu; niech Madonna ześle pociechę w serce twoje, a nocą sen na oczy twoje. Płakać po tobie będę całe życie, ale dziękuję żeś mi powiedział wszystko; inaczej nie mogłabym znieść téj myśli, żeś mną pogardził. Dziękuję ci za to, że mnie jeszcze kochasz; nie odwykaj od tego, boć mi ta jedna tylko zostaje pociecha.

Już się nie odwrócił ku niej, nie widział potoku łez które cicho płynęły z jéj oczu, nie widział poruszenia, które uczyniła oburącz na znak pożegnania, ani gwałtownego wysiłku by się odwrócić i wyjść. Zostawiła drzwi za sobą otwarte, a siostra, która zaraz po ich rozłączeniu się weszła szybko do izby, zastała go jeszcze przy kominie.

— Tomaszu — zawołała ona szlochając, z okrzykiem namiętnéj radości, i objęła rękami milczącego brata — Tomaszu, zerwałeś z nią, jesteś moim, zostajemy dla siebie!

Wtedyto dopiero spostrzegła ona okropną bladłość na czole tego człowieka i przestraszyła się:

— Przebóg! — zawołała — więc ty tak nad tém cierpisz? Nie, Tomaszu, tak być nie może; ja nie chcę abyś to czynił dla mnie. Głos twój jeszcze ją może dosięgnąć; zawołaj ją, bracie! Powiedz jéj...

— Przestań, lube dziecko — przerwał brat stanowczo, usiłując nagiąć usta do uśmiechu, gdy oczy jego spadały na czoło jéj z wyrazem bolesnego a gorącego uczucia — stało się, wszystko skończone. Nie spełniam żadnej ofiary, wierzaj mi siostro, nie spełniam jéj dla ciebie. Choćbyś ty się nie była obudziła z omdlenia przed czterema laty, ja był-

bym jęj był dziś powiedział to samo. Zapada noc, pójdę jeszcze pod wawoz zobaczyć grobę. Przyjdę wkrótce do ciebie z powrotem, moja siostró, moja Teresso. Dzień jutrzejszy będzie dniem nowym.

Pocałował ją w czoło i wyszedł drzwiami prowadzącymi do łąki.

Długi czas upłynął nim cudzoziemiec odważył się otworzyć drzwi od izby w której siedział. Teressa przestraszyła się jego widokiem: zdawało się że zapomniała zupełnie o jego obecności. „Słyszałeś pan wszystko, rzekła poważnie, nie lękaj się abym cię wypytywała. Tomasz nie chciał mówić przy mnie, to dla mnie dosyć. Czy jest gdziekolwiek na świecie brat podobny mojemu? Powiedz pan, czyż los mój nie godny zazdrości? O Tomaszul!”

Skłonił głowę na znak potwierdzenia i podał jęj rękę. — Dobranoc Teresso — rzekł. Nie potrzebuję cię prosić, abys nigdy nie mówiła bratu, kto podsłuchał jego rozmowę z Łucyą. Byłaby to dla niego straszna rzecz, pomyśleć że obcy człowiek świadkiem był sceny, w której siostra...

— Nigdy on wiedzieć o tém nie będzie — odpowiedziała uroczyście. Zasmucić podobnego brata! Czyżby mi to kiedy przez myśl przeszło, mnie, dla której onby życie oddał?

Musiał odwrócić się, aby nie zdradzić przykrego wrażenia, jakie na jego sercu czyniło to niewinne oddanie się człowiekowi, który wydarł jęj to co miała najdroższego. Słowa najgłębszej litości snuły mu się na języku: powstrzymał je, bo ona oczekiwała od niego powinszowań, zapewnień, że los jęj rzeczywiście godnym jest zazdrości. Spojrzał na srebrny na jęj palcu pierścień, spojrział na portret zmarłego wiszący na przeciwległej ścianie, i pomyślał: Oto co Tomasz ma przed oczami codziennie i o każdej godzinie, i musi znosić siostry swęj kochanie!

— Teresso — rzekł — niech Bóg zachowa ci pokój, który ocaliłaś. Bądź zdrowa! unoszę z sobą obraz twój, inny jak mniemałem, ale niezatarty.

Zstępując z wawozu, mówili mało po drodze którą znowu odbył na grzbiecie osiełka. Kiedy opuścił Teressę po drugiej stronie prądu, pozostał długo jeszcze na tém samém miejscu z okiem zwróconém ku młynowi a chłodne wyziewy strumienia igrały po jego rozognioném czole.

Noc zapadła. Jeszcze nie mógł wyruszyć z powrotem. Myśli wciąż wodziły go w dal ku wyżynom po różnych ścieżkach.

Wszedłszy na wysokość skały zachodzącej daleko w morze, dostrzegł na zrębie człowieka, którego włosy rozwiane wiatrem spadały na twarz; człowiek ten wpatrywał się w morze, gdzie w kierunku Carotta, ku Neapolowi, lekka łódź snuła się pod żaglem. Cudzoziemiec zdawał się poznawać tego człowieka i wiedzieć kto siedział w łodzi, to też w głębokiem wzruszeniu udał się ścieżką najbliższą, która wyprowadziła go do siedzib szczęśliwszych ludzi.

Objawiła mu się muza, za którą daremnie wzdychał dzień cały, ale o ponurém, spiżowém obliczu, i długo poza północ nie dopuszczała snu do jego powiek.

M. K.

